



Numer 34
Wiosna
29 czerwca 2022



Słowo od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Wasze ręce kolejny numer klubowego biuletynu. Może nie ma w nim wielu tekstów, ale wiadomo, nie ilość się liczy. Zresztą majowa pogoda nie rozpieszczała, o czym przeczytacie w jednej z relacji, więc pewnie i natchnienia brakowało... Oby lato, które już przyszło, a po nim jesień, obfitowały w górskie wędrówki i okazje do spisywania relacji i wspomnień.

Teksty do grudniowego numeru biuletynu można wysłać na adres: biuletyn@skg.uw.edu.pl. A gdyby ktoś miał ochotę włączyć się w działalność redakcyjną, to oczywiście serdecznie zapraszamy.

Dobrych wakacji i miłej lektury!

Zespół redakcyjny w składzie:

- Joanna Gecow - Redaktor Naczelna
- Ewa Janczarek – korekta
- Grzegorz Bokota - skład

Tekstem zapelnili:

- Dorota Wieluńska
- Joanna Gecow
- Tomasz Kalinowski

zdjęcie na okładce autorstwa Doroty Wieluńskiej.

Spis treści

Słowo od redakcji	2
Kalendarium SKG	4
Kalendarium SKG	4
Z pamiętnika kursanta	4
Przejście Wiosenne 2022 (41. KPG)	5
Diablak w maju	10

Kalendarium SKG

Styczeń

14-17.01 – Rajd "Jurta i sauna w Beskidzie Sądeckim". Prowadzący: Magda Czarnecka i Michał Wangrat

19.01 – Spotkanie integracyjno-planszówkowe na Kampusie Głównym

21-23.01 – VII kursówka 41. KPG, Beskid Niski. Instruktor: Michał Wangrat

Klub zostaje zasilony w nowy roll-up!!! :D Wysiłki Zarządów z ostatnich dwóch lat zostały zwieńczone sukcesem :D

Luty

11-19.02 – Zimówka 41. KPG. Wzięło udział 14 kursantów i 2 waletów. Instruktorzy: Marek Paleski i Michał Wangrat

Marzec

11-13.03 – Rajd „Jurta i sauna w Beskidzie Sądeckim vol. 2”. Prowadzący: Magda Czarnecka i Michał Wangrat

18-20.03 – Rajd „Prawie wiosenny Sądecki” – pierwszy rajd w ramach praktyki przewodnickiej Doroty Wieluńskiej

26-27.03 – Rajd w Góry Świętokrzyskie „Civitas Kielcensis”. Prowadząca: Paulina Kocot (współpraca SKP4 i SKG)

30.03 – 48. Walne Zebranie SKG. Powołany zostaje nowy Zarząd w składzie: Dorota Wieluńska (prezes), Joanna Dobosz, Joanna Gecow, Maksymilian Dobosz, Marcin Lelit, Michał Szulc, Tomasz Kalinowski, Mikołaj Grzędziński; Komisja Rewizyjna w składzie: Grzegorz Bokota, Damian Smus, Paulina Kocot

Kwiecień

6.04 – Spotkanie integracyjne w chatce na Jazdowie poświęcone naszej bazie namiotowej. Kto nigdy nie bazował i nie wiedział, na czym bazowanie polega, mógł swą wiedzę uzupełnić i poważnie rozważyć zaangażowanie się w życie bazy. Prowadzącym spotkanie był nasz wieloletni opiekun bazy Paweł Staniszewski. W spotkaniu udział wzięło 17 osób, czyli niemało, ale większość stanowił zarząd i osoby aktywnie w bazę zaangażowane. Niemniej pojawiło się kilku kursantów tegorocznych. Mamy nadzieję, że pojawią się oni także na tegorocznym rozkładaniu i składaniu bazy.

9.04 – Klubowe Jajeczko SKG w postaci spaceru w Kampinosie i ogniska na Polanie Opaleń. Była okazja do stuknięcia się jajkiem, rozmów wszelakich, a także do poświęcenia urodzin aktualnej Pani Prezes! Przewinęły się w sumie 24 osoby (w tym 6 nieletnich). Pogoda dopisała. Kto nie był, niech żałuje! Z ciekawostek, jedna trasa spacerowa spotkała nawet łosia, a konkretnie kłępe!

10.04 – Rowerówka „Kujawy & Mazowsze – rowerem czy samochodem?”. Prowadzący: Paulina Kocot i Damian Smus (współpraca SKP4 i SKG)

22-24.04 – VIII kursówka 41.KPG, czyli okazja do podszkolenia się przed Przejściem Wiosennym. Miała być pod okiem instruktora, ale covid pokrzyżował plany. Dzielni kursanci zorganizowali się sami i pojechali... się szkolić. Może w kolejnym numerze biuletynu pojawi się relacja z tego wydarzenia.

Maj

29.04-7.05 – Przejście Wiosenne 41. KPG; Wzięło udział 10 kursantów. Instruktorzy: Mirek Sidorowicz i Michał Strzelczyk. Zaliczyło 7 kursantów. Brawo!

30.04-3.05 – „Jaćwingowie, Augustowskie noce i Suwalszczyzna”. Prowadząca: Paulina Kocot we współpracy z SKP4

1.05 – rowerowy wypad po południowo-wschodnich rubieżach Puszczy Kampinoskiej, z Bemowa do Błonia. Prowadziła Ewelina Różańska-Sonti

6-8.05 – „Majowy after w Żywieckim”, czyli drugi rajd w ramach praktyki przewodnickiej Doroty Wieluńskiej (aktualnej Pani Prezes). Tym samym Dorota ukończyła pozytywnie swoją praktykę przewodnicką. Serdeczne gratulacje!

21-22.05 – „Rajd Wiosenny namiotowy w Bieszczady”. Prowadzący: Venky (w ramach praktyki przewodnickiej) i Ewelina Różańska-Sonti

Czerwiec

11.06 – reprezentacja klubowiczów startuje w Mazurskich Tropach, czyli Pieszym/Rowerowym Rajdzie na Orientację

16-19.06 – Rajdówka nr 1 na Pogórze Ciężkowickie i Strzyżowskie. Prowadzący: kursanci 41. KPG. Instruktor obserwator: Paulina Kocot

25-26.06 – Rajdówka nr 2. Prowadzący: kursanci 41. KPG. Instruktor obserwator: Michał Wangrat



Przejście Wiosenne 2022 (41. KPG)

Tomasz Kalinowski

Tegoroczne przejście wiosenne odbyło się pomiędzy 30 kwietnia a 6 maja w Bieszczadach. Moja przygoda z nim zaczęła się jednak już rok wcześniej. Spotkałem wówczas podczas wycieczki rowerowej kursantów oraz instruktorów z 40. Kursu. To była moja pierwsza styczność z SKG i – jak się okazało – nie ostatnia ;). Spotkaliśmy się w bazie namiotowej w Łopience, skąd kursanci wyruszyli na 24-godzinne manewry. Wydawało mi się, że są szaleni i że nigdy nie udałoby mi się zrobić czegoś podobnego. A jednak... Minął rok i wraz z innymi kursantami stanąłem przed wyzwaniem przejścia wiosennego.



30 kwietnia chwilę po północy, po intensywnych przygotowaniach, wyruszyliśmy na świetną przygodę i jednocześnie tygodniowy sprawdzian naszych umiejętności zdobytych na kursie. Pieszą podróż zaczęliśmy od zwiedzania Leska. Zobaczyliśmy kościół, synagogę i zamek, a także zwiedziliśmy kawałek miasta, nerwowo poszukując czynnej o 7 rano w sobotę toalety ;). Nie chcieliśmy jednak spędzać zbyt wiele czasu w mieście – każdy z nas był już spragniony wędrowania po dzikich rejonach Bieszczad.

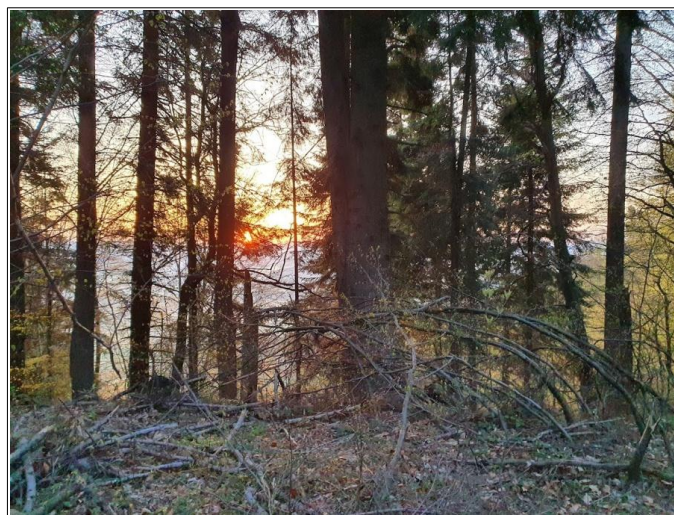


Na rozgrzewkę ruszyliśmy zielonym szlakiem w stronę szczytu o nazwie Gruszka. Przy pierwszej polance zrobiliśmy szybką panoramkę, a po chłodnym poranku słońce weszło już dosyć wysoko, zapowiadając piękną pogodę na cały dzień. Po zdobyciu zalesionego szczytu obraliśmy kierunek na Hoczew, dokąd bez większych problemów dotarliśmy po około dwóch godzinach. W Hoczewie dowiedzieliśmy się nieco o historii miasta, obejrzelśmy kościół oraz Galerię Zdzisława Pękalskiego, po której oprowadziła nas jego żona.

Po zwiedzaniu przewodnik zaprosił nas na lody. W świetnych humorach wyszliśmy z cywilizacji na następne kilka dni. Kierując się w stronę działu Dziurdziowskiego, wyszliśmy na łąki, z których rozpościerał się piękny widok na Bieszczady i góry Sanocko-Turczańskie. Trzeba było skorzystać z okazji i znowu poćwiczyć panoramki.



Nareszcie ruszyliśmy w drogę z myślą, że przed nami jeszcze wiele godzin wędrowania. Ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że po 15 minutach czekała nas kolejna przerwa. Instruktor ogłosił, że będziemy spać w tym miejscu, a my niewątpliwie ucieszyliśmy się po nocy spędzonej w ciasnym autokarze. Gorszą informacją była godzina pobudki, ponieważ mieliśmy wstać kilka minut po północy. Po tej dziwnej pobudce oraz szybkim śniadaniu ruszyliśmy dalej, z założeniem dokończenia planu z poprzedniego dnia. Niestety okazało się, że po ciemku góry wyglądają nieco inaczej, a my zaczynamy mocno błądzić :D. Większość nocy spędziliśmy chodząc w okolicach pipanta 493, gdzie przywitaliśmy piękny wschód słońca, a na Pohary, które były naszym celem, dotarliśmy, kiedy było już całkiem jasno.



Po dosyć ciężkiej nocy dzień ponownie zapowiadał się pięknie i słonecznie. Dosyć wczesny lunch dodał nam sporo siły i poprawił morale, a wyraźne grzbiety i bezbłędne prowadzenia kolejnych przewodników pozwoliły utrzymać całkiem niezłe tempo w drodze na Choceń.



Chwilę po godzinie 16 byliśmy już po kolacji. Pobudka, tak jak mogliśmy się spodziewać, była jeszcze tego samego dnia, zarządzona przez przewodnika o symbolicznej 21:37. Obudziły nas dźwięki utworu "Barka", a my, nieco skołowani ze względu na wstawanie po raz drugi tego samego dnia, zaczęliśmy szykować wieczorne śniadanie. Po pierwszych zdobytych tej nocy szczytach (Choceń i Gabrów Wierch) ponownie zaczęły się problemy z nocną nawigacją. Podczas schodzenia z drugiego szczytu na przełęcz poszliśmy w złym kierunku, co wymusiło powrót na szczyt. Kilka zaliczonych jarów, zgubiony w błocie but. Duża część nocy minęła na błędzeniu po krzakach.

Na przełęcz dotarliśmy, gdy powoli robiło się szaro. Wraz ze wschodem słońca zdobyliśmy Szczoby. Tam zrobiliśmy przerwę, którą większość osób wykorzystała na krótką drzemkę. Kolejnym punktem miał być niewysoki, ale dosyć wybitny szczyt – Kiczurka. Widoczne zaczęło być mocne zmęczenie całej grupy, dlatego postanowiliśmy zrobić lunch, by móc się chociaż trochę zregenerować. Zostałem wysłany na wycieczkę do jaru, aby uzupełnić zapas wody, a gdy wróciłem, okazało się, że lunch zmienił się w kolację, a w planach było pójście spać. Nikt z grupy nie wiedział już, jaki mamy dzień, ani czym jeszcze zaskoczy nas instruktor. Ale – co najważniejsze – nikt się tym specjalnie nie przejmował.



Gdy spaliśmy, dołączył do nas kursant, który nie mógł uczestniczyć w przejściu od początku. Przy popołudniowym śniadaniu wysłuchaliśmy gawędy o geologii Bieszczadów i ruszyliśmy na wspomnianą już Kiczurkę. Jako że był to pierwszy szczyt w "nowym" dniu, trzeba było go uczcić wspólną fotografią.



Gdy doszliśmy na pipant 531, znajdujący się na południowy zachód od Mchawy, instruktor zarządził kolejną panoramkę. Z pipanta rozpościerał się piękny widok na zdobyte wcześniej szczyty, pasmo Łopiennika, a także – w bardzo dalekiej perspektywie – na wciąż ośnieżone pasmo połonin. Wszyscy z pomocą map i kompasów pilnie szukali kolejnych szczytów, co spowodowało dłuższą przerwę od wędrówki, co zdawało się nikomu nie przeszkadzać :).



Gdy dochodziliśmy na Wasylkową, słońce powoli zachodziło, a my zastanawialiśmy się, co przyniesie nam kolejna długa noc. Okazało się, że to, co zwykle, czyli dużo błędzenia. Najpierw, mimo dobrego przejścia na azymut, mieliśmy problemy z trafieniem na przełęcz. Potem ciężkie przeprawy przez kilka nieoznaczonych pipantów, które wyróżniały nie tylko strome podejścia, ale też duża ilość krzaków i powalonych drzew. Błędzenie po jarach w poszukiwaniu kolejnej przełęczy.

Po zdobyciu przełęczy trasa stała się trochę prostsza. Gdy doszliśmy do drogi, instruktor oznajmił nam, że dziś będziemy spać w bazie namiotowej "Rabe", a do przejścia zostało nam tylko kilka kilometrów drogą. Po drodze musieliśmy jeszcze ugotować kolację, mimo późnej/wczesnej godziny (5 rano), aby po przyjeździe nie budzić innych ludzi śpiących w bazie. Pomimo zmęczenia grupy poszło nam dość sprawnie, bo każdy marzył, żeby jak najszybciej się położyć. Spanie w bazie miało tylko jeden haczyk, którego się spodziewaliśmy – jutro manewry!

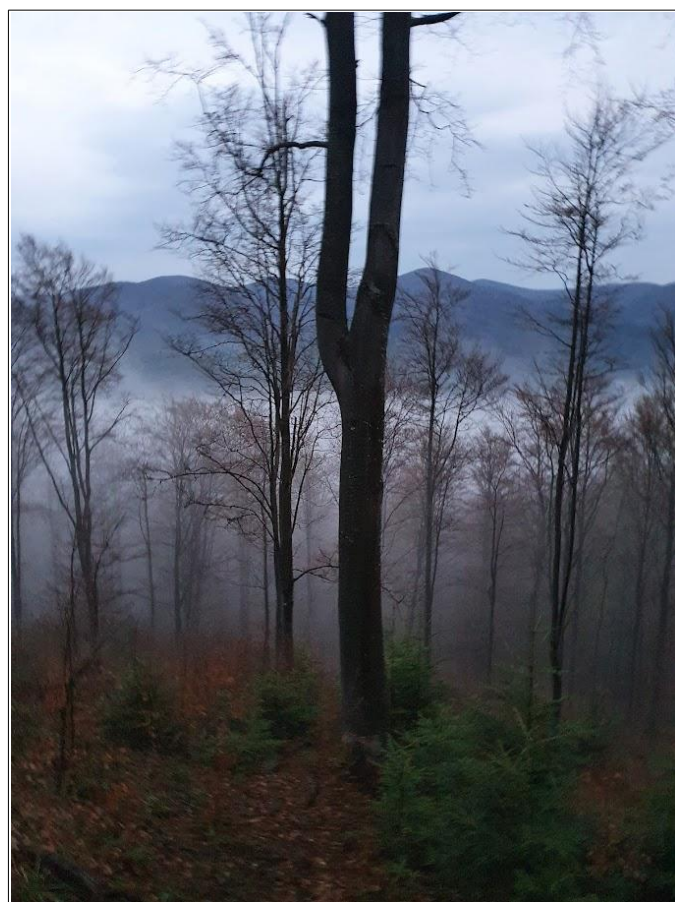


Gdy wstaliśmy na manewry, mieliśmy czas, żeby zjeść porządne śniadanie i przygotować najpotrzebniejsze rzeczy na trasę. W grupie można było wyczuć lekkie napięcie, może obawę? Nie do końca wiedzieliśmy, co nas czeka, jaka będzie trasa i przede wszystkim, czy damy radę. W końcu to wiele kilometrów i godzin chodzenia, a dla większości z nas była to pierwsza tak długa trasa, licząca ponad 70 GOTów. W parach poznaliśmy nasze trasy. Zmotywowani ruszyliśmy odważnie na szlak.



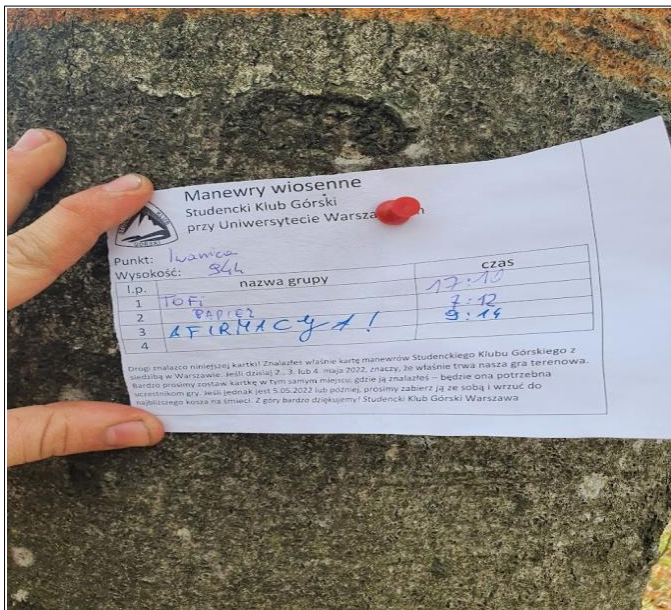
Wyruszyliśmy o 15.00, każda para w innym kierunku. Na początku szlakiem, bez plecaków i pełni sił, wspólnie ze Staszkiem w dobrym tempie wchodziliśmy na kolejne szczyty: Jaworne, Wołoszań i pierwszy punkt naszych manewrów – Sasów. Stamtąd musieliśmy zejść z wydeptanego szlaku i ruszyć w stronę Łopiennika.

Chcieliśmy przejść jak najwięcej, dopóki było jasno, mając z tyłu głowy wcześniejsze nocne błędzenia. Ciemno zrobiło się dopiero, kiedy schodziliśmy z Łopiennika w stronę Dołżycy, do której zawitaliśmy chwilę przed 22. Ku naszemu zaskoczeniu w jednej z restauracji paliło się jeszcze światło, więc postanowiliśmy skorzystać z okazji i do niej wejść. Kuchnia co prawda była nieczynna, ale bezalkoholowe piwo i paczka słonych paluszków znacząco podniosła nasze morale i dała dużo energii na dalszą wędrówkę. Kolejnym punktem był Jeleni Skok, zwany także Mochnaczką, na który przez dłuższy czas musieliśmy przedzierać się przez gęsty młodnik. Następnym szczytem, jaki mieliśmy zdobyć, była Szymowa Hyrlat. Cieszyłem się, bo podczas moich poprzednich pobytów w Bieszczadach, nigdy nie było mi po drodze, aby zdobyć tę górę. Jednocześnie lekko się jej obawiałem, bo grzbiet od północno-zachodniej strony wyglądał na długi i stromy, a dodatkowo był środek nocy. Na szczęście nasze obawy się nie sprawdziły i z lekką pomocą oznaczeń zostawionych przez GOPR dotarliśmy o 3:28 na szczyt. Było to miejsce na trasie oddalone najbardziej na południe od naszej bazy. Wiedzieliśmy, że teraz musimy tylko wrócić, zaliczając po drodze kilka punktów. Z drugiej strony, czuliśmy w nogach pokonane GOTy. Przed nami długie monotonne zejście. Lekka mżawka przeradzała się w coraz mocniejszy deszcz.



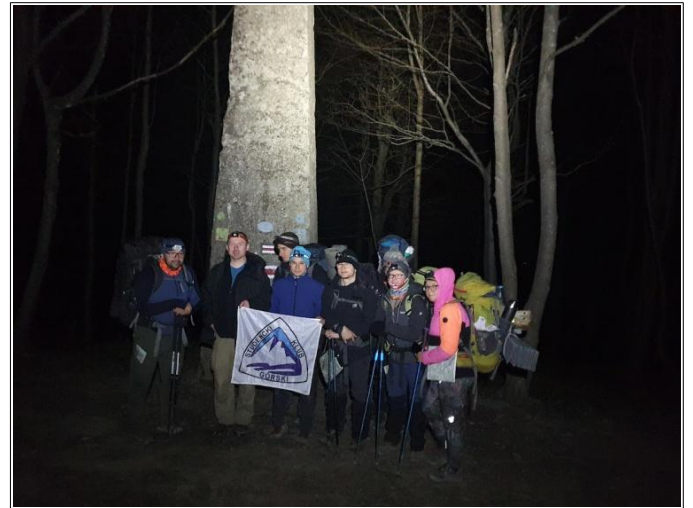
Pod koniec zejścia czuliśmy, że potrzebujemy przerwy i dłuższej regeneracji, ale warunki pogodowe temu nie sprzyjały. Gdy zmęczeni doszliśmy do drogi, naszym oczom ukazały się dwie wiaty. Skojarzyłem wtedy, że w sezonie działa tu kemping i na pewno będziemy mogli skryć się przed deszczem. Na poddaszu wiaty znaleźliśmy

również kanapę! Tak jakby ktoś specjalnie zostawił ją dla strudzonych drogą wędrowców. Podjęliśmy decyzję o dłuższej przerwie, która przeciągnęła się do 45 minut. W tym czasie deszcz zelżał, a my wypoczęliśmy i z nową dawką energii ruszyliśmy na trasę. Pomimo stromego podejścia Mantragonę zdobyliśmy dosyć szybko. Przed nami została jeszcze tylko Iwanica i powrót do bazy. W drodze na nią pogoda znacząco się poprawiła. Wyszło słońce, a poranek stawał się coraz cieplejszy.



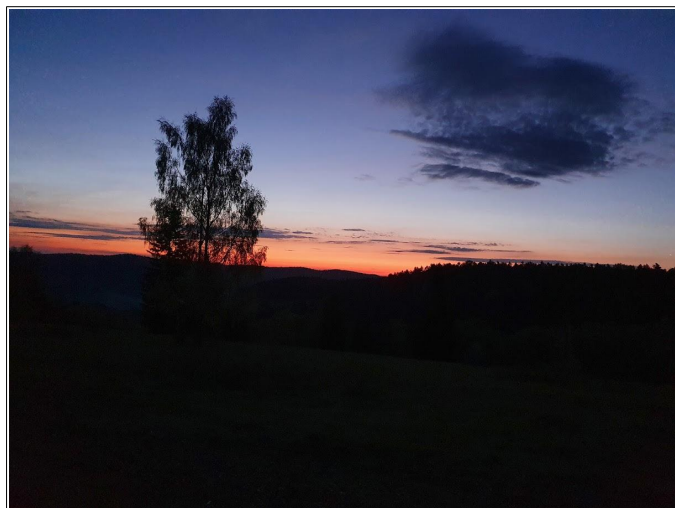
Do Iwanicy dotarliśmy kilkanaście minut po 9. Od razu ruszyliśmy w stronę czerwonego szlaku, na którym zaczynaliśmy naszą podróż kilkanaście godzin wcześniej. Gdy do niego doszliśmy, wiedzieliśmy, że mamy do pokonania jeszcze kilka GOTów. Na naszych zegarkach wybiła właśnie dziewiętnasta godzina marszu. Byliśmy pewni, że dotrzemy na czas, ale chcieliśmy udowodnić sobie, że jesteśmy w stanie dotrzeć do bazy w mniej niż godzinę. Udało się. Stoper zatrzymał się na 19 godzinach i 55 minutach, a my musieliśmy jeszcze rozpalic ognisko i szybko ugotować wodę. Potem czekał na nas zasłużony, acz niezbyt długi odpoczynek. Dwie grupy dotarły chwilę przed nami, trzecia chwilę później. Wszyscy byliśmy zmęczeni, ale szczęśliwi z pokonania nie tylko dystansu, ale i własnych słabości. W trakcie manewrów w grupie nastąpiły rozszady – zamiana instruktora oraz rezygnacja jednej z kursantek. Pobudka czekała na nas jeszcze tego samego dnia o godzinie 19. Po zjedzeniu śniadaniokolacji i wysłuchaniu gawędy o przyrodzie Bieszczad trzeba było ruszać w kierunku Chryszczatej! Tej nocy tempo było zdecydowanie wolniejsze, a cała grupa odczuwała już potężne zmęczenie.

Na szczyt dotarliśmy równo o drugiej w nocy. Na nim obowiązkowa już pamiątkowa fotografia i dalej ku przełęczy.



Aby tradycji stało się zadość, w drodze na przełęcz pobłądziliśmy i idąc po bagnach weszliśmy prawie do jeziora Bobrowego. Do celu dotarliśmy dopiero o świcie, gdzie ugotowaliśmy lunch. Tam niestety odłączyły się dwie kolejne osoby (jedna zgodnie z planem, druga z powodu kontuzji). Od przełęczy szliśmy więc w nieco okrojonym składzie, ale przed nami zapowiadał się kolejny słoneczny dzień. Zdobyliśmy dwa szczyty - Morgań i Huczek. Później zaczęliśmy iść w stronę Wasyłkowej trasą, którą pokonywaliśmy już wcześniej, tyle że w nocy. W dzień nawigacja szła znacznie lepiej. Na przełęczy pod Wasyłkową instruktor zarządził nocleg. (O ile można to tak nazwać, bo na ugotowanie kolacji oraz spanie mieliśmy łącznie 4 godziny ;)). Pobudka o godzinie 18 była chyba najcięższą na tym wyjeździe, ale nie było przebaczyć. Po szybkim śniadaniu ruszyliśmy w stronę Wasyłkowej. Plan zakładał zdobycie szczytu jeszcze przed zachodem słońca, co ostatecznie się udało. Noc złapała nas dopiero, gdy wędrowaliśmy w kierunku Baligrodu. Tam, na rynku, zrobiliśmy sobie przerwę i chociaż za kilkanaście godzin mieliśmy stąd wracać do Warszawy, byliśmy świadomi, że to jeszcze nie koniec i przed nami wiele kilometrów drogi. Z Baligrodu na Stebne. Tej nocy zdecydowanie ciężko się szło i nawet przerwa na lunch oraz moja gawęda o Akcji Wisła nie pomogły, bo wszyscy byli piekielnie zmęczeni. W naszych głowach pojawiała się jednak cały czas myśl, że skoro przeszliśmy już tyle, to te ostatnie kilkanaście godzin nie zdoła nas pokonać. Po drodze minęliśmy jeszcze dwa pipanty, obejrzelśmy ostatni wschód słońca na tym wyjeździe, a gdy zrobiło się całkiem jasno, nastąpiła upragniona dwugodzinna drzemka.

Po pobudce czekała na nas ostatnia góra – Kiczera – oraz niewielka zmiana planów: zejście do Mchawy, a nie Baligrodu. Ostatni szczyt zdobyliśmy dosyć szybko i mimo lekkiego błędzenia dość sprawnie wróciliśmy do cywilizacji. Na dole czekał na nas potok, w którym mogliśmy się umyć w oczekiwaniu na autobus. W międzyczasie wysłuchaliśmy ostatnich referatów, po czym Instruktor przystąpił do omówienia naszego wyjazdu. Jednak najważniejsza była dla nas świadomość, że się udało! Pokonaliśmy nie tylko drogę, ale i swoje słabości, zaliczając tym samym egzamin. Teraz została tylko kilkugodzinna podróż do Warszawy i... ciężki powrót do rzeczywistości.



Dla mnie był to naprawdę ciekawy wyjazd spędzony ze wspaniałymi ludźmi w pięknych górach. Przez tydzień zmagaliśmy się z różnymi problemami, a przede wszystkim z własnymi słabościami. Na pewno długo będę wspominał to przejście, dobrą energię, która nam towarzyszyła przez zdecydowaną większość czasu, wielogodzinne rozmowy podczas nocnych wędrówek, piękne wschody słońca i niezliczone pipanty, które udało się zdobyć podczas tej

podróży. Jedyne, czego mi żal, to że nie wszyscy, którzy byli na przejściu zimowym, zdecydowali się również na ten wyjazd – bo z Wami byłoby jeszcze lepiej! :) Za rok będę też trzymał kciuki za tych, którym nie udało się tym razem!



Ja tymczasem przygotowuję się do kolejnych wyjazdów. I kto wie – może kolejną relację napiszę po przejściu letnim...? :) ■

Diablak w maju

Relacja z rajdu w ramach praktyki przewodnickiej

Dorota Wieluńska

Wtedy

Wyobraźcie sobie rajd, który zaczyna się jak filmy Hitchcocka. Pociąg, którym macie jechać, ma opóźnienie, zanim wjedzie na wasz peron. Busiarz, który miał was zawieźć wygodnie pod szlak, oznajmia, że jeździ jednak inną trasą. Kiedy w końcu wychodzicie na trasę, pogoda jest niepewna, uczestnik przyznaje się wam, że gdyby nie zaliczka na rajd, to zrezygnowałby w ostatniej chwili, a później zaczyna padać... I nie wiesz, czy kiedykolwiek przestanie.



W schronisku, do którego nie mieliście wcale tak daleko, spędzacie więcej czasu, niż powinniście. To miała być krótka przerwa z kawą, a kończy się na zamawianiu pierogów z jagodami i pomidorowej. W końcu wychodzicie. Przez chwilę nie pada. Ha! Myślicie, że wam się upiekło. O nie! Trzy minuty później trzeba zrobić postój, bo kurtki i płaszcze znowu są niezbędne. Jakby tego było mało, zaskakuje was ściana śniegu, pod którą trzeba się wspiąć. Ludzie patrzają na ciebie z powątpiewaniem, ty patrzysz na siebie z powątpiewaniem... Nie przewidziałeś tego. Na głos rzucasz jednak radośnie, że nie ma takiej góry, na którą człowiek by się w końcu nie wdrapał. I lecisz pierwszy. Ślizgacie się. Śnieg wymieszany z deszczem to nie jest hit majowego rajdu. Na przełęczy patrzysz na ludzi – tych, których widzisz, bo widać coś tylko na 3 metry – i bez cienia wątpliwości stwierdzasz, że nie zdobędziecie dziś szczytu, który miał być największą atrakcją rajdu. Brniecie za to w śniegu po łydki, w mokrym śniegu po łydki, pod górę. Deszcz zamienia się w ulewę. Słyszysz, jak ludzie dookoła cieszą się, że chociaż nie wieje. To naprawdę fascynujące, jak bardzo góry potrafią zminimalizować nasze wymagania do bycia szczęśliwym. Kiedy ślizgacie się schodząc ze szczytu, szczęściem staje się uluda, że może znowu tylko pada, nie leje. Kiedy twierdzisz, że chyba

widać słońce przebijające się przez chmury, dostajesz w odpowiedzi chóralny okrzyk, że to twoje omamy. Idziecie.

Ty już wiesz. Przypomniałeś sobie z kursu to uczucie. Choćby nie wiem, jak źle było, każde warunki kiedyś się skończą, nawet te najgorsze. Czymś zarażasz ludzi, że jednak idą z tobą dalej. A nikt już nie ma suchych butów. Dla niektórych to pierwsze spotkanie ze śniegiem w górach. Nie tego spodziewali się w maju.

W końcu deszcz zamienia się w mokrą mgłę, a twoje omamy w prawdziwe słońce. Zatrzymujecie się na lunch. Poziom szczęścia u ludzi wyskakuje ponad skalę. Do miejsca noclegowego docieracie powłócząc nogami, ale zadowoleni. Przygody czasem źle się przeżywa, ale – nawet po paru godzinach – mile wspomina.

A ty masz tylko nadzieję, że jutro będzie jednak nudnym, przewidywalnym dniem.



Teraz

Chociaż zamiast bezpośredniego pociągu do Krakowa trafiły się dwie przesiadki, a w głowie wciąż głośno brzęczała mi myśl, że coś zaraz trzaśnie i się nie uda, udało się. Rajd się zakończył, ludzie wrócili do domów zadowoleni i cali. Ja wróciłam cała i z poczuciem małego sukcesu. Kiedy opowiadam znajomym o moim majowym weekendzie w Beskidzie Żywieckim, nie muszę dużo koloryzować, życie wystarczająco zabarwiło tę historię. Nie zastanawiałam się w czasie kursu przewodników, dlaczego ktoś go wymyślił tak a nie inaczej. Za to po kursie, w trakcie praktyki przewodnickiej, doceniłam, że swoje trudne chwile w górach przeżywałam na kursie, w warunkach kontrolowanych i pod okiem instruktorów. Nie było na to miejsca na rajdzie, tam musiałam być już ogarnięta i zahartowana. Cieszę się, że na kursie poznałam chociaż częściowo swoje granice i nauczyłam się radzić sobie z niewygodami na szlaku. A przede wszystkim, że przede mną jeszcze wiele takich przygód. ■